

Wasył Machno

Kalendarz
wieczności

przełożył Bohdan Zadura



JUBILEUSZ
PAŃSTWOWEGO
INSTYTUTU
WYDAWNICZEGO
1946-2021

75

Mesjasz ze Smyrny

Nasza historia zaczyna się jesienią roku 5426 od stworzenia świata, 1666 od narodzin Chrystusa, 1115 wedle kalendarza ormiańskiego i 1076 wedle muzułmańskiego kalendarza hidżry, gdy ze smyrneńskiego portu wypłynęła galera. Zdarzenie, na które można by nie zwrócić uwagi, gdyby tą galerą płynął do Stambułu ktoś inny, a nie sam Sabataj Cwi, mieszkaniec Smyrny, który ogłosił światu swoje posłannictwo. Nadchodziły lata, o których z lekkim debatowali uczeni w piśmie Żydzi i chrześcijańscy teologowie, żeby zrozumieć, co czeka ten świat. A oczekiwali na przyjście Mesjasza i na koniec świata. Dlatego też nie cichły spory w synagogach, bo uczeni w piśmie, podążając za każdą literą Tory, śliniąc palce, rozwijali zwoje pergaminu, aby zgłębić słowa najpierw oczami, a następnie rozumem. A teologowie, jak Joannicjusz Galatowski, byli przekonani, że tylko chrześcijanie trzymają się prawa Mojżeszowego, a więc tylko oni zostaną zbawieni. Astronomowie przyglądali się niebu, wypatrując gwiazd i innych niebieskich oznak, żeby jako pierwsi zauważyć cokolwiek dającego jakąś wskazówkę o dniach ostatnich. A wiadomo, że przed dniami ostatnimi przyjdą fałszywi mesjasze, wojny, głód, choroby, potopy i nastanie ferment we wszystkich narodach. W Londynie, na przykład, szalała wtedy dżuma, przywleczona przez holenderskich kupców. Urzędnik Królewskiej Admiralicji Samuel Pepys w swym dzienniku zapisze, że po zarządzeniu władz o wybicciu wszystkich psów

i kotów obszar epidemii tylko się rozszerzył. Przez całe lato szczury roznosiły śmiertelną chorobę, a mieszkańcy Londynu wynosili trupy z domów i układali je na ulicach, bo nie było czym wywozić ich na cmentarze. I dopiero na początku września królewski piekarz zapomniał wygasić piec, w którym piekł chleb dla dworu – i wtedy pożar strawił pół miasta. Wraz z budynkami spłonęli także roznościele choroby – i wszyscy, którzy opuścili Londyn, powrócili. I byli też na świecie ludzie, o których zapomniano i dlatego my też nie możemy ich pamiętać. A ten Sabataj Cwi, który podzieli świat na dwadzieścia sześć części (o czym opowiemy potem) dla swoich wyznawców, zupełnie się nie przejmował, że imperia i królestwa od dawna już władają tym, co on tak lekko rozdaje. Imperium Osmańskie, Hiszpania i Portugalia, Carstwo Moskiewskie i dynastia Qing w Chinach, rezygnacja patriarchy Nikona i odkrycie grawitacji przez Izaaka Newtona, angielsko-duńska wojna i pierwsza drukowana Biblia w języku ormiańskim wydana w Amsterdamie – oto czemu to wszystko, powiązane niewidzialnymi nitkami historii, żyło wtedy w oczekiwaniu na dni ostatnie, bo ostatnie dni zawsze są z nami.

Tak oto we wrześniu, dzień przed wyznaczonym wyjściem galerii ze smyrneńskiego portu, reisa Papadopulosa odwiedził Sabataj Cwi. Znalazł kapitana w portowej kafanie. Papadopulos usiadł tam, żeby zjeść obiad. Był głodny, a rozmowa z Żydem mogła się przeciągnąć. Sabataj Cwi zauważył to niezadowolenie i odczuł niechęć do siebie. Nawet uważne spojrzenie kapitana, którym ten zmierzył Żyda, przenosząc je z głowy Sabataja na Sabatajowe nogi, nie zapowiadało przyjemnej rozmowy.

Stół przed reisem był jeszcze pusty i kiedy Grek przełknął ślinę, Sabataj posłyszał burczenie w Papadopulosowym żołądku.

Mimo to Sabataj Cwi zaczął:

– Jestem Sabataj Cwi – mówił Żyd szybko, trzymając się mocno każdego słowa jak wyczerpany pływak oczeretu. Mówił z przekonaniem i po chwili wyjawiał istotę sprawy. Zachowywał się tak, jakby to Papadopulos wpraszał się do niego na galerię, a nie odwrotnie.

Papadopoulos słuchał i przypominał sobie plotki, krążące po Smyrnie. Na sam koniec Sabataj zapewnił, że szczerze zapłaci za siebie i swoich współtowarzyszy, jeśli reis zgodzi się wziąć ich na pokład.

– A ilu was jest? – zapytał Papadopoulos.

– Dwanaścioro – od razu odpowiedział Sabataj. – Jedenastu mężczyzn i Sara, moja żona.

Papadopoulos przypomniał sobie, jak jeden z jego utykaczy opowiadał, że w Smyrnie objawił się żydowski mesjasz, to znaczy mesjasz ten właśnie wrócił z Palestyny, skąd przywiózł sobie żonę Sarę, która przyćmiła urodą wszystkie tutejsze piękności. Właśnie tą wieścią rozbrzmiewały w czasie rozmów mużułmańskie, chrześcijańskie i żydowskie domy. Gadają, że chodzi ten mesjasz z kilkomna swoimi wyznawcami po ulicach i śpiewa psalmy. Wygląda na szalonego, ale szalony nie jest. Ktoś inny z Papadopoulosowej załogi, kto słyszał tę opowieść, dodał, że smyrneńscy rabini nie akceptują tego Sabataja, ale kilkudziesięciu Żydów tutaj, w Smyrnie, jednak uwierzyło w jego słowa i gotowi są pójść za nim na kraj świata.

Kiedy galerę załadowano i szturman podał wioślarzom pierwszą komendę, do portu zeszło się kilka dziesiątków smyrneńskich Żydów z dziećmi. Niektórzy z nich płakali, a niektórzy rzucali przekleństwa w ślad za galerą, która już odpływała. „Co oni tam krzyczą?” – pytał sam siebie reis Papadopoulos. Do jego uszu, zarośniętych czarnymi włosami, wpychało się morskie powietrze, zagłuszając słabe głosy Żydów na brzegu. Po pewnym czasie załopotwały napięte żagle. Ludzie w porcie złali się z portową zabudową. A ci Żydzi, których Papadopoulos zgodził się przewieźć do Stambułu, stłoczeni na rufie, wpatrywali się przed siebie, za horyzont, jakby niezainteresowani tym, co się dzieje na brzegu. I tylko czarnowłosa Sara, która była wśród nich, uśmiechała się, spoglądając na brzeg.

Do dziesięciu długich wioseł po obydwu stronach burt galerii posadzono ponad stu wioślarzy, których brano ze Smyrny czy z podmiejskich wsi, a resztę przywożono z targów niewolników. Szturman, jego pomocnik, dozorca niewolników, kowale, utykacze, takielarze, cieśle – stanowili pstrokatą załogę, a poradzić sobie

z nią mógł tylko Papadopoulos, smyrneński Grek, którego przodkowie służyli jeszcze u Hayreddina Barbarossy. Tym razem na galerze było również dwanaścioro pasażerów, którzy wczoraj prosili o podróż do Stambułu.

Papadopoulosową galerą przeważnie przewożono pszenicę, przechowywaną później w magazynach smyrneńskiego portu. Miała dwa maszty, na których poszarpane i wytarte przez mocne podmuchy śródziemnomorskich wiatrów płócienne żagle wisały jak szarawary na krzywych nogach kapitana.

Często podczas morskich rejsów galerę doganiał sirocco. Papadopoulos najbardziej bał się tego wiatru, bo rozdzierała tkaninę żagli i łamał maszty. Płaskodenną galerę, zalewaną przez sztormowe fale, mogło wyrzucić na brzeg. Nawet wtedy, gdy majtkowie na czas opuszczali żagle, a nadzorczy niewolników manewrowali, słuchając rozkazów kapitana. Mimo to nie wszyscy przeżywali. I Papadopoulos z tymi, którzy przeżyli, zrzucał z kamienistych brzegów wyspy ciała nieszczęsnych topielców. Znajdowano ich na całym brzegu. Ptaki krążyły nad nimi, aby pić z martwych oczu, a nocą w pobliżu czuć było zapach lisów. A potem przez kilka dni utykacze wymieniali strzaskane deski w dnie i burtach statku, a cieśle naprawiali połamane wiosła. Kiedy galera i resztki załogi były gotowe kontynuować żeglugę, Papadopoulos, orientując się w gwiazdzistym niebie jak w dzielnicy Smyrny, w której wyrósł, szukał między gwiazdami drogi do najbliższego portu.

Jednak jeszcze wczoraj, kiedy Papadopoulos w Smyrnie czekał na swoją załogę, która rozbiegła się po mieście, tych dwanaścioro poprosiło, aby ich zabrał do Stambułu. Kapitan galery obejrawszy ich, powiedział, że statek wypływa jutro i mogą doczekać świtu w nabrzeżnym magazynie pszenicy. W dodatku Żyd, który nazwał siebie Sabatajem Cwi, wydał się staremu Papadopoulosowi podejrzany, bo zgodził się czekać w magazynie, zapytał, w jakim budynku jest ten magazyn, i wyjaśnił, że nie chcą wracać do domów, żeby się nie spóźnić. Papadopoulos poprowadził ich kamienistym brzegiem i otworzywszy kluczem zamek, wpuszcił

do środka. Suche powietrze uderzyło go w nozdrza i kichnął, po nim kichnął Sabataj Cwi i wszyscy jego towarzysze. Przybrzeżne wzgórze, na których dojrzewały winogrona, owiewało świeże morskie powietrze. Gdzieś w oknach miejskich domów drżało brudne światło. Szczękały psy. Na wzgórzach słychać było rzenie spętanych koni. A gdzieś, całkiem daleko, w okolicznych wsiach senne koguty nakłuwały swoim pianiem północną ciszę, w którą podążał oddział konnych. Zmieszany z ich niskimi, oddalającymi się od portu głosami dudnił, stopniowo cichnąc, ciężki tętent kopyt.

Budynek, w którym spali Żydzi, stał z dala od portowych zabudowań. W środku, na wydmach pszenicy umościli się na noc pasażerowie Papadopolosa.

Korsarz wrócił na galerię, ale nie mógł zasnąć. Wydobywając z pamięci twarze Żydów, czuł narastającą ciekawość i podejrzenia. Kim są? Po co im Stambuł? Ten, który nazywał siebie Sabatajem Cwi, wydawał się Papadopolusowi szaleńcem i prorokiem. Mówił do kapitana jak do pustego miejsca, otworu w przegniłej desce drzwi. Ten Żyd patrzył, przewiercając reisa wzrokiem. Ten wzrok magnetyzował i paraliżował jak oczy węża ofiarę. Słowa, które wypowiadał, były nie z ziemi, a z księżek. Tylko nerwowe drganie kręgów szyjnych i czasami wąskich ust świadczyło o tym, że mówiąc, Sabataj przeżywa wielkie napięcie. I pochodzi ono nie z jego ciała, a skądś z góry, jak ulewa z zachmurzonego nieba.

Papadopolos podkradł się do magazynu z pszenicą – zajrzał w szparę między deskami drzwi. Zobaczył, że ten Żyd nazwiskiem Sabataj Cwi, pochylony nad oprawioną w cielęcą skórę księgę, czyta. Okna były zalane księżycowym światłem jak kozim mlekiem. Z dala od mężczyzn spała kobieta. Papadopolos nie wiedział, kim ona jest. We śnie odkryła się – spod bawełnianej narzutki białała jej łydka. A kiedy przewróciła się na lewy bok, nakrycie zsunęło się, obnażając jej aksamitne plecy i pośladki.

Serce Papadopolosa zabiło mocniej. Jeszcze raz spojrzął na Sabataja Cwiego, ale ten, odłożywszy księgę, już się modlił.

I Papadopoulos, odszedłszy od drzwi, myślał o rozgrzanej we śnie kobiecie i jej białych łydkach.

Westchnął jak zmęczone zwierzę i wrócił na galerę. Zasnął, nakrywszy się z głową grubym kaftanem.

Nad zatoką smyrneńską wyciekał srebrnym światłem księżyc, podobny do pękniętej skorupy kurzego jajka.

Załoga Papadopoulosa przysłała na brzeg przed świtem. Greka obudziło skrzypienie deski, która ugiwała się pod potężnymi ciałami jego marynarzy, kiedy wchodzili na galerę. Niewolników przyprowadzono na samym końcu, gdy wszyscy inni zajęli już swoje miejsca.

Zatoka lśniła od porannego słońca.

Zaczął się przypływ – i zielone fale nasuwały się na ląd.

Mewy latały nad brzegiem, pierwsi rybacy szykowali swe łodzie i sieci, żeby zdążyć powrócić z połowem przed zachodem słońca.

Papadopoulos jak zwykle nakrzyczał na marynarzy i zaczął czekać, aż z budyneczku wychyną Żydzi.

– Rybacy wyjdą w morze pierwsi – rzekł do swojego pomocnika, czy to z wymówką, czy po prostu, żeby cokolwiek powiedzieć.

Kiedy na brzegu i w porcie wreszcie zaczęło budzić się życie, drzwi budyneczku się otworzyły. Papadopoulos zauważył to, ale z magazynu nikt nie wychodził. Jako pierwszy pokazał się Sabataj Cwi, trzymający pod pachą księgę, a za nim dziesięciu Żydów i ta sama Żydówka, którą w nocy Papadopoulos pożerał wzrokiem. Cała dwunastka zdążyła w stronę statku. Jeszcze wczoraj, umawiając się z Papadopulosem, Sabataj Cwi, o którym huczała Smyrna, próbował wyjaśnić Grekowi, że trzeba odpływać natychmiast, bo jego i jego towarzyszy prześladowają smyrneńscy rabini. Ale co to właściciela statku i jego szemraną załogę mogło obchodzić? Dlatego też wypływali rano, doczekawszy się przypływu. „Jeden problem – pójda pod wiatr” – zadumał się Papadopoulos.

A więc ze Smyrny Sabataj Cwi zabierał się w pośpiechu. Ten, do kogo przylgnęło słowo „mesjasz”, przed którym w żydowskich